

Elżbieta Tabakowska
Uniwersytet Jagielloński

Przekład kongenialny, czyli wspinaczka na Olimp

Utalentowany aktor teatryku lalkowego dostaje pracę zwykłego urzędnika w biurowcu na Manhattanie, na siódmym i pół piętrze. Pewnego dnia odkrywa w pokoju tajne przejście. Gdy próbuje zajrzeć do środka, wsysa go ciemny, mokry tunel. Okazuje się, że jest to... wejście do głowy znanego aktora Johna Malkovicha. Mężczyzna zaczyna widzieć świat jego oczami.

Being John Malkovich: Być jak John Malkovich
<http://www.kinomaniak.tv/film//57618>

Wstęp

Na czym polega potęga mitu? Pytanie brzmi trochę jak zadanie domowe dla gimnazjalisty, odpowiedź wcale jednak nie musi być trywialnie prosta. Bo niby wiadomo: mit ukazuje uniwersalne prawdy o człowieku, tłumaczy zjawiska zachodzące w świecie, kształtuje światopogląd, jest źródłem inspiracji dla twórców kultury – poetów i pisarzy, malarzy i rzeźbiarzy, muzyków i architektów. Ale mit jest przecież w gruncie rzeczy rozbudowaną metaforą i jako metafora spełnia także funkcje heurystyczną i kreatywną: ukierunkowuje ludzkie myślenie i wytycza kierunki naukowych badań, staje się podstawą rodzących się teorii i modeli.

Jeśli idzie o praktykę i teorię przekładu, oficjalnie zwaną translatoologią lub przekładoznawstwem, takich modeli konstruowano dotąd wiele – przekład był raz lewą stroną perskiego dywanu, kiedy indziej znów duchem tekstu lub symfonią na dwa fortepiany. Warto więc może

spróbować kolejnej metafory, wierząc, że odkryje ona przed badaczem nowe perspektywy, i poszukać inspiracji właśnie w mitologii. Zbiór mitów greckich związanych z Olimpem – siedzibą greckich bogów – nada je się do tego celu, jak sądzę, wyjątkowo dobrze. Siedziby greckich bogów widziane jako Epikurejskie *intermundia* – międzyświaty, w których żyją nieśmiertelni, to przecież naturalny habitat tłumacza, zawieszono go w przestrzeni rozciągającej się między dwoma światami różnych języków i różnych kultur.

Śmiertelnicy natomiast widzą zazwyczaj Olimp jako ideał, doskonałość i absolut – w potocznej polszczyźnie „osiągnąć Olimp” znaczy tyle, co „osiągnąć szczyt doskonałości”. Taki szczyt jest też oczywiście celem dążeń tłumacza. Można więc tłumacza widzieć w roli Giganta, który chce zdobyć Olimp, aby tym samym zdobyć władzę nad światem: sławę? pieniądze? rząd dusz? Ale tłumacz może też sobie wyobrazić, że szczytu zdobywać nie trzeba, ponieważ już został zdobyty. Patrzy wtedy na świat z wysokości swojego Olimpu, ale w odróżnieniu od bogów, cieszących się pełnią szczęścia w swoich międzyświatach, nie może pozostać obojętny na to, jak śmiertelni przyjmują jego decyzje i skutki jego poczynań. Bo taka pełna zarozumiałstwa i arogancji postawa wobec świata śmiertelnych oznaczałaby jego kres. Tłumacz podobny olimpijskim bogom nigdy nie osiągnie doskonałości.

Przekład kongenialny

W przymiotniku, którym zwykło się określać owoce trudów tłumacza dorównującego olimpijskim bogom, kryją się dwa łacińskie słowa: *genius* to duch opiekuńczy, a w późniejszych religiach Anioł Stróż; przedrostek *com-* oznacza *współ-*. „Przekład kongenialny” to zatem taki przekład, który powstał przy współdziałaniu opiekuńczego ducha – tłumaczącego przekładowcę strzegł jego Anioł Stróż.

Podstawą tradycyjnego rozumienia komunikacji (a także przekładu) jest słynna metafora przewodu, stworzona jako model procesu komunikacji zachodzącej w obrębie jednego języka, a potem rozszerzona na dłuższy łańcuch kolejnych etapów procesu komunikacji zapośredniczonej przez przekład. Metafora przewodu – dziś coraz mocniej dyskredytowana przez współczesne teorie pragmatyczne – jest niezwykle

prosta (co zapewne tłumaczy jej ogromną popularność). Tak więc nadawca „pakuje” treść, którą chce przekazać odbiorcy, w „opakowanie” zrobione ze słów i zdań, i następnie posyła tę paczuszkę odbiorcy, który pakunek rozwija i wydobywa ze środka dokładnie to, co wcześniej zostało tam włożone. Ten prosty schemat utrwalił się w sposobie, w jaki potocznie mówimy o językowej komunikacji: *odnajduję (lub nie) sens w tych słowach, daję mu to do zrozumienia, odbieram wiadomość, wkładam w słowa swoje uczucie, podaję do wiadomości* itd. Jeśli natomiast w grę wchodzi przekład, schemat nieco się komplikuje: zawartość odebranej paczuski trzeba jeszcze przepakować, czyli przełożyć do innej (to „przekładanie” to zresztą kolejna metafora zrodzona ze schematycznej metafory przewodu).

Etap pierwszy przekładania stanowi poznawanie oryginału. Na tym etapie tłumacz jest artystą, a jego trudom powinny patronować trzy siostry – wiara, nadzieja i miłość. Wiara, że uda się oryginał właściwie zrozumieć, nadzieja, że uda się go przełożyć, i wreszcie miłość do podejmowanej pracy. Spory miłośników taksonomii dotyczące tego, czy tłumacz jest (raczej) artystą, czy (raczej) rzemieślnikiem wydają się bezzasadne, ponieważ już na tym etapie widać, że sztuce musi towarzyszyć rzemiosło, czyli racjonalny profesjonalizm. I gdyby metafora przewodu rzeczywiście oddawała istotę tego, czym jest tłumaczenie, cała sprawa byłaby prosta. Niestety, aż tak prosto nie jest: odpakowywana w zmienionym kontekście (językowym, historycznym, społecznym, kulturowym) zawartość „przesyłki” zawsze jawi się odbiorcy w mniej lub bardziej zmienionym kształcie. I tu zaczyna się etap drugi: poszukiwanie ekwiwalencji. Teoretycy przekładu od dawna spierają się na temat definicji tego fundamentalnego dla wszystkich teorii pojęcia. Kompromis zaproponował w 1964 roku wybitny znawca przedmiotu, amerykański tłumacz Pisma św. Eugene Nida. Postulowana przez niego, klasyczna już dziś dychotomia zakłada istnienie dwóch rodzajów ekwiwalencji: formalnej i dynamicznej (funkcjonalnej)¹. Tworząc przekład, tłumacz musi podjąć decyzję co do tego, czy w określonym przypadku ważniejsze jest oddanie w przekładzie formalnych cech oryginału, czy też stworzenie tekstu, który w nowym kontekście będzie mógł pełnić funkcje analogiczne do tych, jakie oryginał pełnił w kontekście,

¹ Por. E. Nida, *Toward as Science of Translating*, Leiden 1964.

w którym się narodził. Przekład kongenialny – jeśli jest w ogóle możliwy – okaże się jednak ekwiwalentny i w jednym, i w drugim znaczeniu. Tłumacz osiągnie szczyt – ideał, doskonałość i absolut, czyli ekwiwalencję idealną, doskonałą i absolutną. Niestety, z punktu widzenia logiki taki cel wydaje się absurdalny. Ekwiwalencja jest przecież relacją równoważnościową, a więc symetryczną (jeśli przekład jest podobny do oryginału, to i oryginał jest podobny do przekładu), przechodnią (jeśli oryginał A jest podobny do przekładu B i przekład B jest podobny do przekładu C, to oryginał A jest podobny do przekładu C) oraz zwrotną (oryginał jest podobny do samego siebie). Jeśli teraz założyć podobieństwo idealne, doskonałe i absolutne, okaże się, że idealnym ekwiwalentem oryginalnego tekstu może być tylko... on sam. Postulat osiągnięcia szczytów doskonałości – wywodzi teoretyk przekładu Theo Hermans – oznacza zatem wyrok śmierci dla przekładu i co za tym idzie – śmierć tłumacza².

Dążenia i cele

Przekładaniem i przekładem zajmują się – mniej lub bardziej profesjonalnie – trzy grupy osób: tłumacze, teoretycy przekładu i krytycy przekładu (przy czym przynależność do jednej z tych kategorii nie wyklucza oczywiście przynależności do pozostałych). Każda z tych grup stawia sobie inne cele. Tłumacz – jak powiedzieliśmy – dąży do doskonałości i szukając (mniej lub bardziej świadomie) kompromisu między sztuką a rzemiosłem, stara się wspiąć na szczyt swojego Olimpu. Im bardziej jednak jest doświadczony, tym silniej wątpi w istnienie absolutu. Celem teoretyka przekładu jest definiowanie i opisywanie warunków wspinaczki tłumacza oraz utrudniających ją ograniczeń – barier kulturowych, językowych, psychologicznych. Stąd postulat interdyscyplinarności w podejmowanych przez teoretyka badaniach. Krytyk przekładu wreszcie stara się dowieść prawdziwości mitu o Olimpie, bogach i śmiertelnikach: każdy, kto próbuje wspiąć się na szczyt, wcześniej czy później musi spaść w przepaść. A zatem nie ma kongenialnych tłumaczy, nie ma też kongenialnych przekładów.

² Por. T. Hermans, *Translation, equivalence and intertextuality*, Wasafiri 18 940, 39 – 41. 2003.

Tłumacz jak(o) Hermes

Tłumacz, który zwątpił wprawdzie w absolut, lecz mimo to optymistycznie przyjmuje perspektywę mieszkańców Olimpu raczej niż punkt widzenia gigantów, może być jak bóg Hermes. Bo Hermesem nie zostanie nigdy, tak jak urzędnik z Manhattanu nigdy nie będzie Johnem Malkovichem. Jest więc tłumacz jak Hermes Trismegistos, bóg Po Trzykroć Wielki, łączący w sobie mistykę, naukę i sztukę. Przecież właśnie ta triada stanowi o pełni pracy nad przekładem: przekład jako wsparty nauką profesjonalizm, przekład jako sztuka i wreszcie „wiedza tajemna”, potocznie nazywana „iskrą Bożą”. Ale Hermes to także *psychopompos* – „przewodnik dusz”, w wizji starożytnych Greków odgrywający rolę pośrednika między dwoma światami – światem żywych i światem umarłych, którą łączył z rolą dyplomaty: był bogiem „przynoszącym pokój”. Podobnie tłumacz: zawieszony między dwoma światami, musi się bezustannie starać, aby tłumaczenie stało się skutkiem dyplomatycznych kompromisów raczej niż „wojną światów”³. Starożytni przypisywali Hermesowi umiejętności konieczne dla skutecznych działań dyplomaty: znajomość języka i zasad erytyki, łatwość wymowy i elokwencji; Hermes był „ambasadorem Zeusa”. Z chwilą, gdy w refleksji nad przekładem upadł „mit przezroczystej szyby”, a tłumaczowi przyznano podmiotową rolę i prawo do podejmowania translatorskich decyzji, TŁUMACZ TO AMBASADOR jest najczęstszą metaforą, za pomocą której się go dziś określa: tłumacz jest postrzegany jako ambasador swojego autora i kultury, którą ten autor reprezentuje.

Starożytni wyposażyli Hermesa w inne jeszcze cechy, które uznaje się za konieczne atrybuty dobrego tłumacza: aktywność, żywy intelekt i chęć poznawania świata. Kształtowanie i rozwijanie tych trzech cech to w skrócie fundament i podstawowe założenie programów realizowanych przez współczesnych dydaktyków przekładu, a mających na celu kształtowanie osobowości adeptów tego zawodu. Hermes miał także, zdaniem starożytnych, umiejętność panowania nad sobą i silną wolę, co także stanowi niezbędne atrybuty dobrego tłumacza i o czym wie każdy, kto ma za sobą zmagania z opornym tekstem.

³ Por. E. Balcerzan, *Tłumaczenie jako „wojna światów”*, Poznań 2009.

W poszukiwaniu podobieństw można iść jeszcze dalej: Hermes był, jak wiadomo, bogiem podróży, kupców i złodziei. Odniesienia do wszystkich tych dziedzin łatwo odnaleźć w opisach pracy i owoców pracy tłumacza – opisach zarówno potocznych, jak i tych, które wyszły spod piór uczonych teoretyków. Tak więc przekładanie to podróż tłumacza, który opuściwszy swoje *intermundia*, wędruje ze świata przedstawionego w tekście oryginału do świata przedstawionego stworzonego we własnym umyśle. Przełożony tekst natomiast to zaproszenie czytelnika do podróży do świata przedstawionego, który tłumacz na jego użytek stworzył. Przekładanie to także wciąż ponawiany akt kupowania obrazów Innego, wizji Innego, elementów innego świata, i płacenia za te nabytki rezygnacją z własnych obrazów i wizji, ze swojego świata. Gdy wiadomo, że trud wspinaczki na Olimp podjął przed nami, próbując tej samej drogi, jakiś inny śmiałek, tłumaczowi nieobcy staje się także syndrom Hermesa-złodzieja: trudno się oprzeć pokusie, aby ukraść poprzednikowi jedną czy drugą perełkę i zgrabnie wpleść ją w swój własny wzór.

Hermes był także uosobieniem bardziej przyziemnych, bardziej praktycznych cech. Był bogiem handlu, więc musiały mu być dobrze znane techniki negocjacji i dobijania targu. To także znajduje przełożenie na pracę tłumacza – zwłaszcza w dzisiejszym kontekście, w którym musi zaistnieć przekład. O czytelnika coraz trudniej, konkurencja na rynku wydawniczym rośnie, napięte terminy wymuszają pośpiech, który jest wrogiem dobrego tłumacza i dobrego tłumaczenia. A w dodatku bez Hermesowego talentu „przekonującej wymowy” trudno liczyć na atrakcyjny kontrakt...

Być jak olimpijscy bogowie

Wśród mieszkańców Olimpu najbliższy tłumaczowi będzie zapewne Hermes, ale mitologia związana z Olimpem może się stać źródłem inspiracji także dla tworzenia wielu innych – mniej lub bardziej twórczych – porównań. A więc tłumacz jest jak bóg wojny Ares, ponieważ, starając się przestrzegać zasad dyplomacji w relacjach między światami przedstawionymi, nie raz staje się świadkiem lub nawet czynnym uczestnikiem „wojny światów”. Tłumacz jest jak bóg muzyki Apollo,

bo – używając wspomnianej na wstępie metafory – przearanżowując symfonię na dwa fortepiany, musi jednocześnie pilnie wsłuchiwać się w melodię i starać się zachować walory oryginalnej kompozycji. Wreszcie tłumacz jest jak Zeus Gromowładny, gdy z praktyka przemienia się w krytyka lub dydaktyka przekładu: bezwzględnie karze tych, którzy w czymś przewinili, sobie przyznając przywilej pozostawiania bezkarnym...

Igrzyska olimpijskie

Bardzo trafną metaforą dla dzisiejszych praktyk w dziedzinie przekładu wydają się igrzyska olimpijskie. W starożytności odbywały się one, jak wiadomo, ku czci gromowładnych bogów; dziś organizuje się je dla wydawców, krytyków i czytelników przekładów. Tłumacze są zawodnikami, uprawiając – jak w starożytności – dwie podstawowe klasyczne konkurencje: zapasy i bieg. Zapasy – jak w starożytności – to walka o laur zwycięstwa. W kontekście przekładu artystycznego tłumacz konkuruje z poprzednikami – autorami wcześniejszych wersji przekładu, czyli, używając fachowej terminologii – serii translatorskiej. Kolejny przekład (a zazwyczaj chodzi o znanych klasyków) podejmowany jest pod olimpijskim hasłem „ja to zrobię lepiej”. Drugą konkurencją – znów jak na klasycznej olimpiadzie – są wyścigi, których hasło brzmi „ja będę pierwszy”, a metą jest biurko (czy też raczej ekran komputera), na którym ląduje gotowy przekład. Sprzymierzeńcem tłumacza jest technika komputerowa – coraz nowsze i coraz lepsze programy komputerowe, zapewniające coraz skuteczniejszy i szybszy dostęp do informacji i coraz skuteczniejsze i szybsze metody produkcji przekładu, który w tym kontekście przybiera fachową nazwę *translatu*.

Z perspektywy przekładu obie konkurencje okazują się jednak tylko kolejnymi mitami: nie zawsze nowy przekład okazuje się lepszy niż stare i prawie zawsze tłumaczenie robione „na tempo” ustępuje jakością temu, w które tłumacz zainwestował swój czas.

Zakończenie

Zadanie, które tym razem powierzyli mi redaktorzy tomu *Olimp – ideał, doskonałość, absolut*, okazało się wyzwaniem równym temu, jakie w poprzednich latach podejmowałam, szukając inspiracji dla refleksji na temat przekładu w mitach o Narcyzie, Demeter i Herkulesie. Raz jeszcze potwierdziło się przekonanie o potędze mitu jako uniwersalnej metafory pojęciowej: okazuje się mianowicie, że o tłumaczu, o przekładzie i o tłumaczeniu można sensownie mówić także w kategoriach mitu o Olimpie. Co więcej, chciałabym wierzyć, że metafora Olimpu pozwala powiedzieć coś więcej, niż powiedziano dotychczas, czyli wzbogacić istniejący model o nowe elementy.

Odczytanie olimpijskich mitów w kontekście współczesnych badań nad tłumaczeniem pozwala na przykład precyzyjnie określić zasadę, która w gruncie rzeczy kryje się u podstaw większości dzisiejszych rozważań o przekładzie: tłumacz świadom swoich możliwości i swoich celów powinien dążyć do ideału z pełną świadomością, że tego ideału nigdy nie uda mu się osiągnąć. Twórcze rozwinięcia tej ogólnej zasady należy pozostawić specjalistom. W tym miejscu warto jednak jeszcze dodać słówko ostrzeżenia: konstruowanie modeli na podstawie metafory, choć pouczające, może się okazać niebezpieczne. Metafora jest bowiem przeniesieniem jedynie niektórych cech z domeny źródłowej na docelową. Cechy wybrane wysuwa na pierwszy plan, natomiast pomijane usuwa w cień. Rozważając powyżej metafory: DOSKONAŁOŚĆ TO GÓRA OLIMP, TŁUMACZ TO GIGANT WSPINAJĄCY SIĘ NA OLIMP i TŁUMACZ TO GRECKI BÓG HERMES, przywołaliśmy jedynie pewne cechy składające się na (idealny? doskonały? absolutny?) portret tłumacza. Mitologia uczy na przykład, że celem przyświecającym Gigantom było zniszczenie Olimpu. Czy należy zatem – idąc konsekwentnie za mityczną metaforą – uznać, że celem tłumacza powinno być nihilistyczne dążenie do unicestwienia pojęcia ideału i doskonałości w odniesieniu do niego samego, jego pracy i jej owoców? Mit o mieszkańcach Olimpu głosi, że ciesząc się boską szczęśliwością, bogowie wykazywali doskonałą obojętność na losy śmiertelników. Czy więc należy przyjąć, że tłumacz przekonany o swoim boskim statusie nic sobie nie powinien robić z tego, co mówią o nim jego czytelnicy? Czytając opinie różnych ludzi o przekładzie, łatwo się przekonać, że zdarzają się również takie interpretacje...

Congenial Translation or Climbing Mt Olympus

Congenial translation, or one that matches the original in respect of all qualities of its content and form, has always been regarded as a proof that the translator has reached the summit of perfection, that is to say, the highest peak of Mt. Olympus. Such a translation has always been the subject of theorists' scrutiny, the translator's dreams come true, a testimony to the existence of the absolute. Recognition of the absolute – the first step on the road to congenial translation – has been treated either as a process based on intuition, faith and emotions deriving from the artist's talent ('translation is an art') or on rational perfection ('translation is a craft'). However, since the absolute is unconditional and unlimited, ultimately it must – also in the context of translation – turn out to be unattainable. Thus from the translator's viewpoint the ideal becomes the very striving for perfection and searching for a compromise between the intuitive and the rational. Meanwhile, the aim of the translation theorist is to define and describe the necessary requirements and limitations. In Greek mythology, every mortal who took up the climb to the heights of Mt. Olympus had to fall into the abyss. Yet the fate of a mortal taking up the toil of translation does not have to be so tragic. Provided he admits that perfection is not more than striving for unattainable perfection.

The metaphor of current practices in translation is not so much the Olympian pantheon as the Olympiad held in honour of the thunder – wielding gods – publishers, critics, readers. Like in the first ancient Olympiads, there are two competitions: racing, or a fight for maximum speed (hence attempts at making use of modern technologies) and wrestling, or a fight for the laurels of victory gained in the combat with competitors (hence the so-called translation series and the translator's motto 'I can do a better job').